



B. 6757

KRZEWSKI

Z TEJ BIEDNEJ ZIEMI...

(WIERSZEM I PROZĄ)

KU UCZCZENIU 500-LETNIEJ
⌘ ROCZNICY GRUNWALDU ⌘



W KRAKOWIE
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI KATOLICKIEJ
DRA WŁADYSŁAWA MIŁKOWSKIEGO
1910.

KS. ZDZISŁAW ZAKRZEWSKI



Z TEJ BIEDNEJ ZIEMI....

(WIERSZEM I PROZĄ)

KU UCZCZENIU 500-LETNIEJ
△△ ROCZNICY GRUNWALDU △△



W KRAKOWIE



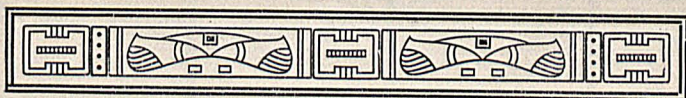
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI KATOLICKIEJ
DRA WŁADYSŁAWA MIŁKOWSKIEGO □□□ 1910.



B. 6757

K/175193

Z TEJ BIEDNEJ ZIEMI...



Pieśń żniwiarzy.

Ziemia nasza urodzajna
Co nam chleba dajesz w bród,
Rolo polska złotodajna
Z twego kwiecia słodki miód
Jako pszczołki my zbieramy,
W znoјnej pracy dzień po dniu,
Dziś na twoją cześć śpiewamy
Całym sercem, ile tchu!

Niesiem korne dziękczynienie
Bogu, co nam siły dał
By uprawić matkę ziemię,
Choć się z czoła pot nam lał,
Chociaż wichry poszalały
Słoty, burze, błyskawice,
Ręce w pracy nie ustały
Ogorzało w słońcu lice.

Dziś uwieńczmy nasze skronie
W ten pszeniczny, złoty kłos,
Z pełnej piersi ponad błonie
Niechaj wzleci śpiewny głos
I niech dźwięczy w uniesieniu
Pieśń w miłosny akord złana,
„Ziemia nasza w twem cierpieniu
Ponad życieś ukochana!“



Pieśń do N. M. Panny

*(w czasie karania dzieci polskich za nieodpowiadanie
w niemieckiej nauce religii).*

Polskiego ludu niebieska królowo,
Maryo Panno a Matko cudowna,
Przed Tobą klęczym ze schyloną głową
A w sercach naszych boleść niewymowna :

Niedość że kraj nam zabrali wrogowie
Sto lat nas dręczą, wszędzie odpychają,
Dziś dziatkom naszym w ich ojczystej mowie
I Syna Twego chwalić zabraniają !

Maryo! ratuj w tej srogiej godzinie!
Zmień prześladowców serca kamieniste
Maryo, wysłuchaj! ta modlitwa płynie
Z ust dzieciak drobnych a ich serca czyste !

A jeśli cierpieć jeszcze nam potrzeba
By spełnić do dna ten kielich goryczy,
Ześlij otuchę i wytrwałość z nieba
Łzy dzieciak naszych niech Twój Syn policzy !

Niechaj te łezki zmażą ciężką winę
Praojców zmarłych oraz winę naszą,
Oswobodzenia przyśpieszą godzinę
Ciemięców srogich niech one przestraszą !

12. IV. 1907.



Antoś Sierota.

Wicher dał strasznie na dworze, tumany śniegu pędził po polach, łąkach, ogrodach, sypiąc wysokie wały, gdzie jaka stanęła zaporą. Wiejska ulica miejscami gołą okazywała ziemię, a kilka kroków dalej wznosił się wał śniegu ledwo do przebycia, zwyczajnie jak bywa przy śnieżnej zamieci. W końcu wioski wznosił się biedny drewniany kościółek; zewsząd dzisiaj i on obsypany śnieżnymi górami, do połowy sam biały, niby siwy staruszek, drugą połową, zakrytą od wiatru, zczerniałe latami pokazywał deski i belki. Plebania, schludny domek, za płotem, tuż obok. Była godzina czwarta wieczorem, kiedy to zimą już zmrok zapadać poczyna. Ksiądz pleban staruszek, szerokim chodząc krokiem po skromnej izdebce, wieczorne odmawiał pacierze; kończył właśnie kompletę, lecz odłożył brewiarz, bo już dojrzeć nie mógł w pokoju, a zresztą tyle lat co dzień szepcąc Bogu tę wieczorną modlitwę, umiał ją dobrze na pamięć i tak ją też z głowy i serca Panu przepowiadał: *In manus tuas, Domine, commendo spiritum meum* — Mój Boże, w ręce Twoje polecam ducha mego — te słowa z westchnieniem i przejęciem głębokim właśnie co były wyszły z ust pobożnego staruszka, gdy mocno ktoś w sieni zadzwonił, aż się wzdrygnął kapłan. Przerwał pacierz i trochę zniecierpliwiony bieży drzwi dzwoniącemu otworzyć.

— Przepraszam Jegomości, ale bardzo proszą do chorej we wsi osoby — odezwał się organista miejscowy, stary, lubiony przez całą parafię, pan Piotr.

— W takie powietrze! O Boże, Boże! Ale do kogoż to taki gwałt okropny? — zapytał pleban.

— A to na drugim końcu wsi, proszę Jegomości, ta wdowa po Macieju Radłowym, któregośmy w październiku chowali, taka chora podobno.

— A cóż jej się stało?! No, nie czas pytać — *fiat voluntas tua!* Panie Jezu, dla Ciebie! — szepnął staruszek, a głośniej dodał: No, zapalaj asan w kościele, ja się tymczasem ubiorę.

Po chwili obydwoj różnym krokiem wychodzili z drewnianego kościołka. Organista niósł latarkę i dzwonek, a czapkę pod pachą, na siwe głowy obydwoh padał bezlitośnie biały a mokry pył z nieba, a kapłan szeptał:

— *Benedicite glacies et nives Domino* — lody i śniegi błogosławcie Panu!

Po drodze na odgłos dzwonka wychylały się z chałup kobiety i dzieci, a w sionkach na klęczki padały:

— Niech będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament!... — wrywało się przelękłym z piersi, a po chwili sąsiadki się zbiegały, radząc:

— A no mój Boże! Biedny nasz Jegomość; na takie powietrze toćby i psa dziś nie wygnał, a któż też taki tu chory? Kto wie, czy nie Maciejowa!

I niektóre, co ciekawsze i tkliwsze, puściły się za kapłanem, nakrywszy wierzchnim spódnikiem głowy.

Kapłan dochodził do biednej chałupki. W progu ze świecą czekała sąsiadka i kilka innych kobiet i dzieci. Wszystko uklękło kornie chyląc czoła przed Bogiem utajonym, gdy kapłan próg sionki przestąpił.

— *Pax huic domui et omnibus habitantibus in ea.* — Pokój temu domowi i wszystkim w nim mieszkającym! — rzekł kapłan, wchodząc do izby.

Dwie świece paliły się na stoliku, wizerunek Zbawiciela na krzyżu maleńki, cynowy, cała ozdoba tego ołtarzyka, na którym Pan nieba i ziemi spoczął w korporale.

— Ej, jakże dobrze Bóg zrobił, że tak ukrył Swój Majestat!

Rozjaśniało blade oblicze konającej Maciejowej.

— Mój dobry Jezu! — szepnęła, patrząc na przemian na kapłana klęczącego jeszcze przy stole i na wizerunek Zbawiciela nad łóżkiem swoim wiążący, wielki, stary, po matce odziedziczony. Na nim Pan Jezus ręką wskazywał Serca Swego ranę.

Wszyscy wyszli z izdebki i zawarli drzwi za kapłanem i chora. Cóż oni tam z sobą tak długo mówili? Spowiedź trwała i trwała, a w sionce śnieg się kurzył na cisnących się zewsząd sąsiadów.

Wreszcie drzwi się otworzyły, weszli ludzie do izby, poklękli, a na samym przedzie najbliższa sąsiadka, pocziwa stara Marynka z niebożatkiem Antosiem dziewięcioletnim chłopaczkiem, jedynem pozostałym dzieckiem konającej Maciejowej. Już troje Bóg jej był zabrał, patrzyły tam od Boga na świeżą mogiłę ojca, a niedługo pewnie ujrzą, jak i matuli w ziemi pościelą, lecz zamiast płakać, z radością ją powitają u wrót Pana Jezusowych...

Skończył się obrzęd święty. — Kapłan z serca płynącymi słowy długo mówił do Maciejowej i tak kończył; a wiedz, że i o tej dziecinie Twojej Bóg nie zapomni, nic się nie kłopot, idź, kiedy Bóg chce i każe, widocznie tam jesteś potrzebna.

— O mój Jegomość, Bóg zapłać stokrotnie, ufam i wierzę i spokojnie już teraz duszę oddam. Jezus, Marya, Józefie św., Wam oddaję serce, ciało i duszę moją.

Kapłan wśród śnieżnej zamieci z organistą jeszcze nie był doszedł do domu, gdy czystą duszę Maciejowej witały duszyczki jej dziełek...

— Biedna sierotka, — mawiało co czulsze w całej wiosce, — któż się teraz opiekować nią będzie!

— Ej, nie biadajcie, mówili inni, — toć mu i krzywda nie będzie, wezmą go gdzie na wychowanie.

— Co u obcych, to nie u matki. Żal mi tego stworzenia. Samabym go wzięła, gdybym swoich nie miała.

Takie to mowy prowadziły kumoszki i gospoście po wiosce, aż przeszedł i pogrzeb, a nowa mogiła wśród innych białym śniegiem pokrytych sama czarna sterczała, aż póki i jej śnieg nie zapruszył. Antoś dopiero po pogrzebie zaczął rozumieć, co się stało; pod opieką starej Marynki pierwsze dni płakał i tęsknił do matki na cmentarzu, wybierał się do niej co chwila, prosząc aby go do niej prowadzić. Minęło tak kilka tygodni. Marynka ani krewną zmarłej, ani też bogatą nie była, dłużej się Antosiem zajmować nie mogła, — wreszcie i sądy wyznaczyły opiekuna sołtysa; a ten, aby się pozbyć kłopotu, z komisarzem ułożył, że chłopca wezmą na wychowanie bezpłatne, gdzieś tam we świat daleki do domu sierót, pono do jakiegoś tam Wagenburga.

— Mój Boże! znowu we wiosce biadano, — na co tam biednego wychowają Antka, już mu tam po polsku Boga chwalić nie dadzą, na Niemca on wyjdzie pewnikiem i na toż go matka Polska zrodziła, aby się to nieboże zaś naszym wrogiem stało! Może się też Bóg dobry zlituje jeszcze.

Takie szły mowy po wsi całej od chałupy do chałupy, wszędzie warli ludzie na sołtysa, że z Niemcami trzyma i nawet o religią biednej sieroty nie stoi. Doszło to wszystko i do księdza plebana. Stara Marynka sama to doniosła, lecz cóż było robić, i ksiądz pleban rady nie wiedział, bo wszystko postanowione już było.

— Niebezpieczna sprawa, tylko w Bogu nadzieja, — powiedział, — lecz kiedy to dziecię wziąć mają?

— A no, za tydzień podobno, mój Jegomość drogi.

— Wiecie, pocziwa Marynko, w każdym razie przyprowadźcie mi tu jutro to biedne dziecko, abym je jeszcze pouczył, choć takie drobne, nie zapomni może, co mu ksiądz powie.

Przyszedł Antoś do księdza, w rękę pocałował, a ksiądz miłosiernie po głowie go pogłaskał i tak się odezwał:

— Mój Antosiu, pamiętasz matusię swoją, widzisz już prawie rok minął, jak do Boga poszła.

— O pamiętam, tak śnieg mocno padał, jak Jegomość byli u matki.

— A cóż-że ci matka mówiła na końcu swojego życia?

— Mówili, Jegomość, że mam do Pana Jezuska zawsze mówić paciorek, a najbardziej jakby ludzie byli nicpoci i bili Antka.

— Dobrze, moje dziecko, nie zapomnij o tem nigdy, a póki tutaj będziesz w naszej wsi, to co dzień idź mówić paciorek z starą Marynką albo sam do kościółka i na grób matki, to ci ksiądz każe; pamiętaj, idź z Bogiem teraz, moje dziecko, i zaraz wstąp do kościoła.

Chodził Antoś jak mu proboszcz kazał, ukląkł w kościele i na grobach ojca, matki i małych braciszków i siostry co dzień odmawiał paciorek.

Od dnia wyjazdu już tylko dwa dni go dzieliły. Słyszał chłopczyzna, że wziąć go mają i dziecięcej jego duszyczce tem droższym stał się kościółek w tym dniu przedostatnim, bo jakoś dłużej się modlił, — wyszedł wreszcie na cmentarz. — Po śniegu skrzypiało, rączki miał zgrabiące, trząśł się cały od zimna, bo wiatr mroźny śniegiem sypał, prawie jak w dniu śmierci jego matki. Ukląkł w śniegu na grobie „Zdrowaś Marya“, „Wieczny odpoczynek“... klęczał i szeptał, aż się przechylił i zdało mu się, że matusia go bie-

rze w objęcia a zimny pocałunek na drżących składa
ustkach, — drżał cały, z radości pewnie, bo oto Anioł
Stróż oddawał dziecięcą jego duszyczkę w objęcia
duszy matuli.

Zbiegli się ludzie, przyszedł i ksiądz pleban,
ukłękł nad ciałkiem i głośno westchnął: „mój Jezu,
jakiś Ty dobry“ i łzę cichą obtarł z oblicza.



Matka Wielkopolanka nad kolebką dziecięcia swego.

Skarbie mój serdeczny
Ty luba dziecino
Dał mi cię Przedwieczny
Najdroższa kruszyno!
Choć Mu dniem i nocą
Za to składam dzięki
Straszą mnie, kłopotą
Jakieś dziwne lęki:
Co cię czeka w życiu
Jakaż twoja dola?
Toć w samym rozkwicie
Poznasz co niewola!
A gdy Bóg niec długą
Życia Ci uprządzie
Czy słoneczną smugą
Ono płynąć będzie?
Choć cię chwalić Boga
Uczę w swojej mowie,
Przemoc straszna wroga
Wkrótce ci wypowie

Że matki językiem
Masz się mówić wstydzic,
I tym wrażym krzykiem
Wszystko Ci zohydzić
Będą zawsze chcieli,
Coć ojczyznę wszędzie
W jej śmiertelnej bieli
Przypominać będzie!
Dziecię me, sieroto
Choć-em ja przy życiu!
Boże! błagam o to
W duszy mej ukryciu
Rozwiej straszne mary
Daj promyk nadziei,
Użycz mi tej wiary
Że wśród burz, zawiei
Zginą prądy czarne*)
Z piekła ród wiodące
Na życie cmentarne
Kraj nasz skazujące...



Przekleci...

Smutno szumiały leśne drzewa do siebie; chyliły się sosny do świerków, białe brzozy do jodeł, a czasem i do tu i owdzie jeszcze stojących odwiecznych dębów staruszków jakoby im cześć i szacunek oddać pragnęły; tylko te stary dęby niewzruszone stały a pozwalając wiatrom swemi liśćmi trzepotać, wtórowały ponuremi melodyami swej młodszej leśnej braci. Coś złowrogiego wyczuć się dawało w tym szumie, lecz

*) hakatystów.

na to wszystko zdawał się nie zważać jadący bryczką przez las stary woźnica Bartłomiej. Cóż mu tak śpieszno, jakaś chmura na twarzy, niecierpliwie batem popędza szkapiny i nie widzi nawet, że z boku drogi przez las ku niemu bieży jeden z leśnych drwali; dopiero gdy słyszy jego wołanie przystaje niecierpliwym.

„Nie zatrzymujcie, dla Boga, bo spieszno mi do miasta, nasz borowy umiera, a z synem głuchoniemym co z zakładu ma przybyć, by ojca pożegnać, widzieć się chce jeszcze, właśnie po niego spieszę na kolej“.

Drwał na te słowa nie badał dalej woźnicy Bartłomieja, lecz zawrócił z drogi do boru i na przełaj dążył szybko do leśniczówki. I on posmutniał, dowiedziawszy się, że tak źle z borowym, którego szanował bardzo i wszyscy, co w lesie panu pracowali. Bo był to człowiek godzien szacunku, ten borowy Sosienka, a przytem tak wiele przechodzić musiał w swem życiu: pochował żonę przed trzema już laty, jedno dziecko za życia nieboszczki umarło, a zostało się troje, z których najstarszy syn 14-letni był głuchoniemym i kształcić się musiał w zakładzie w X. Dwie ostatnie nieletnie dziewczynki po śmierci matki chowały się pod okiem starej Tomaszowej, która służąc u borowego, stała się teraz jakoby panią i podporą całego domu. Na domiar nieszczęścia i Sosienka ciężko zaniemógł i zdawało mu się, że Bóg go pewnie niedługo zawoła do siebie. Toteż nie chciał umierać najpierw bez Boga a potem bez jedyne go syna, tem droższego mu, że w tem strasznym nieszczęściu i kalcie żyć musiał bez swojej i rodziców winy. Posłał więc najpierw po księdza plebana, przyjął wszystkie sakramenta św. i pokrzepiony na duchu spokojnie oczekiwał godziny przybycia kochanego syna, czując, że mu Pan Bóg tej łaski nie odmówi i że przed śmiercią mu go uściskać pozwoli. Obawiał się

jednak, że może ciężko mu będzie porozumieć się ze synem przy swojej słabości i jego kalectwie, napisał więc już przedtem na kawałku papieru ostatnie swoje pożegnanie, upomnienie i błogosławieństwo dla syna, które do chwili jego przybycia chował przy sobie.

Papier ten zawierał następujące słowa: „Synu najdroższy, widzisz co ze mną się dzieje, matkę pochowałeś i ojciec cię opuści, bo słaby jestem i umierać będę. Ty zostaniesz z twojem kalectwem, lecz ci je nauka trochę zmniejszy i osłodzi. Na ostatnie upomnienie piszę Ci te słowa: pamiętaj zawsze, że choć ułomnym jesteś, masz mieć serce i duszę prawego Polaka, wierzącego głęboko katolika, bo nie wart ten nic, co się swej wiary i narodowości zapiera. Ufam w Bogu i Najśw. Pannie, że Ciebie, mój synu drogi, od wszelkiego złego na tym świecie zachowają, módl się i pracuj — pamiętaj o siostrach i módl się za drogich rodziców swoich. Błogosławię Cię w Imię Najśw. Trójcy i w Imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen.“

Był właśnie piątek, godzina trzecia po południu, gdy drwał zachodził do leśniczówki, zapukał do drzwi i pochwaliwszy Chrystusa, zbliżył się do łoża chorego. „I cóż to panie borowy, tak źle dziś z wami“.

„Jak widzisz dobry Macieju, już nie wiele godzin, Bóg je porachował — lecz syna doczekam, bo i pleban mówił, że byłem prosił o tę łaskę, to jej Bóg nie odmówi“.

„Ej, może i was miły Bóg pocieszy jeszcze, bo smutno w boru robić, kiedy was tam nie ma — gdy sosny szumią, zda się że za wami płaczą“.

„Niech płaczą, toć je całe życie kochałem i wśród nich pracowałem“.

Nad łóżkiem chorego wisiał drewniany krucyfiks, a ponad nim wielki obraz Najświętszej Paniarki Czę-

stochowskiej, przed którą się lampka świeciła, z boku zaś strzelba, nieodstępna towarzyszka borowego, wśród jego wycieczek codziennych.

Weszła w tej chwili stara Tomaszowa z dziećmi, które do łóża ojca się rwały, wyciągając rączki. Rozjaśniało oblicze ojca chorego, gdy weszły dzieci do izby, z kolei je do serca przytulił, z wysiłkiem kładąc ręce na ich złote główki: nic przytem głośno nie mówił, tylko coś szeptał ustami i spozierał na ciemną, lecz tak słodką twarz Maryi. Wtem zaturkotało przed domem, „pewnie biedny Janek przyjechał“ mówi Tomaszowa, drwał Maciej wyszedł i po chwili wrócił, wiodąc przed sobą głuchoniemego chłopca. Ciężkim swym chodem przerwał Janek złowrogą ciszę domową a widząc bladego ojca w łóżku, rzucił się ze łżą w oku ku niemu.

Ściskając ojca lica i rękę niezrozumiałe tylko wydawał głosy ze siebie; po pierwszym powitaniu skinął ojciec, by Janek usiadł na brzegu łóżka, a sam sięgnął ręką pod poduszkę swoją i wydobyl kartę z pismem do syna. Nie przyszło mu na myśl w chorobie, że i kalectwo dziecka jego zużyją dla „wyższej kultury!...“ „Czytaj“, rzekł podając Jankowi.

Rumieniąc się patrzył chłopczyną na pismo, łzy jedna po drugiej z dużych oczu padały na papier zalewając litery, a ojciec rozczulony tym widokiem z miłością patrzył na syna.

W tem chłopiec powstaje i stłumionym głosem bełkoce z rozpaczliwym ruchem po niemiecku te słowa: „*Guter Vater ich kenne diese Sprache nicht, kann nichts verstehen...*“ Ojciec zbladł jak ściana, jęknął złowrogo a dwie duże łzy potoczyły się po jego obliczu, ostatnie to były w tym życiu... Janek z przerażeniem chwycił ojca rękę, przycisnął do ust i poczuł, że już sztywna była... boleść rozdzierała mu piersi jęczał i płakał!

Czy więcej nad śmiercią ojca, czy nad tem, że z umierającym porozumieć się nie mógł, niech kto chce osądzi...

Drwal Maciej świadek niemy tej sceny z ściśniętem sercem wybiegł z izby — ścisną w garści siekierę, biegnie w las a cały się trzęsie z wzruszenia, aż pot mu kipi gdy staje i na cały głos woła w las „przekłęci“! Trzykrotnie echo starych dębów powtórzyło ten złowrogi wyraz, aż się przeląkł sam Maciej.

Lecz wnet się opamiętał; z całej siły wrębnął siekierę w najbliższą sosnę, ukląkł i ze łzą w oku wymówił: „Boże! jak długo jeszcze?“

□ □ □

S E N.

Łuny światła biją, ołtarz zda się płonie
Pod stropy katedry mdłych kadzideł wonie
Unoszą się z dymem, podniosły hymn chwały:
„Te Deum laudamus“ śpiewa naród cały.
Przejmują do głębi te grzmiące organy
W szatach złotolitych liczne się kapłany
Na okół wielkiego zebrały ołtarza,
Wdzięczność dziś ich lice promienne wyraża.
Już piersi wezbranej rozpierać nie może
Odtąd suplikacya „Święty, święty Boże“
Gdyż się narodowi stało zmiłowanie
I od dziś ma ustać jego łzawe łkanie!
„Raduj się narodzie, znikła twa niedola
Pług twój niechaj orze, wolne odtąd pola
Dziatwę twą nikt obcą niech nie dręczy mową
Bo cię Bóg obdarza dziś wolnością nową!
„Kląski twe i krzyże już jak sen minęły



Zgoda cię i praca dziś uszczęśliwiły“
Tak sam arcykapłan wśród ciszy po pieniach
Ozwał się do ludu — a w katedry cieniach
Jak w brylantach jasnych ognie zabłyszczały
W cichych łzach radości, które tłumy lały...

* * *

Znikła błoga mara gdym się ocknął w nocy
Wichry straszne dęły, było po północy,
Jeszcze tyle godzin zanim będzie rano...
Lecz choć się rozdnieje, czy wichry ustaną?...

◦ ◯ ◯ ◯

„Nad Gopłem“.

Poemat w III pieśniach.

I.

Nad Gopła czystą lazurową tonią
Wśród lip cienistych i wśród grabów starych
W łuszczewskim dworze gdzie tak szczerą dłonią
Witają gościa, o godzinach szarych
I ja stanąłem wśród dni mych szeregu
Przebywszy kordon przemocą nadany
Ziemi ojczystej! Z tamtej strony brzegu
Ujrzałem w dali wręcz oczarowany
Z przed progu tego gościnnego domu
W śnieżystej bieli kościół Połajewa,
Z smukłą wieżycą (pewnie tam nikomu
Bóg nie odmówi (kto Mu chwałę śpiewa)
Lazur goplaniej, czarującej fali
Wabił ku sobie nowego przybysza,
Myśl hen biegła po zamierzchłej dali

Co ból dni naszych koi, ukołysz:
Każe zapomnieć, choć jeno na chwilę
Że jeszcze cierpim niewoli dręczenie!
Jakże każdemu wśród tych wspomnień mile!
I na mnie zeszło błogie ukojenie.
Wnet do wieczerzy gospodarstwo woła,
Siadają wszyscy goście i domowi,
Płynie rozmowa swobodna wesoła,
Radzi tu widać każdemu gościowi!
I znika pieczeń husarską nazwana
Wraz z „pantówkami“ i „mizeryą w bieli“
Szynka, owoce, mrożona śmietana,
Jeść mogli wszyscy ile tylko chcieli.
Dzień był upalny, to też wszyscy społem
Po tej wieczerzy dążą na próg dworu,
Wśród mroku, chłodu, siadają tam kołem
Śmiech, żarty płoszą zaciszę wieczoru.
Niejeden może trochę zadumany
Spojrzał to w dziewic tak szczerą źrenicę
Lub też na błękit gwiazdami zasiany,
Zapłakał w duszy a śmiało się lice!
Tak bieżą chwile, lecz spóźniona pora
Zbyt prędko grono do spoczynku prosi,
Gdzieś tam w oddali od strony jeziora
Puszczyk się ozwał, północ pewnie głosi
I senna cisza nad łuszczewskim siołem
Zapadła wkrótce po gości rozstaniu :
Teraz rusałki chwyciły się kołem,
Tańcząc nad Gopłem w wesołym igraniu :
Księżyc te mgliste śledząc korowody
Do śmiechu składał okrągłe oblicze,
Gdy czasem ryba pluskając z pod wody
Psuła rusałkom tany tajemnicze.
Krótka zabawa! bo na niebios skłonie
Świtać poczęło tam zdala od wschodu

Jedna po drugiej gwiazdeczka już tonie
Gdzieś hen w przestworze! jakiś powiew chłodu
Rusalki wpędza w trzciniowe wybrzeże:
Bąka zbudziły, ten huczy, że dnieje!
Łyski, cyranki, całe strojne w pierze
Ptactwo goplanne do dnia się już śmieje!
I zanim kula ognistego słońca
Przejrzeć się zdoła w przezroczystej toni
Już życie kipi, szczebiot, gwar bez końca
Nurek cyrankę a ta kurkę goni!
Czapla nad brzegiem dając wielkie kroki
Postrach już szerzy pomiędzy rybami
Z olch przykrzykują to kraski to sroki,
Wrony w dal pędzą całymi stadami.
Tak dzień się zbudził, kiedy wszyscy spali,
Lecz wnet się ozwał podwórzowy dzwonek,
Do żniwnej pracy wołał, żeby wstali,
Bóg nie na darmo dał tak piękny dzionek.

II.

Rażno szła praca już przez godzin parę
Słońce się wzbiło dość wysoko w biegu
Zanim się goście tam pod lipy stare
Zeszli w ogrodzie po miłym noclegu;
Jedni ochoczo w „lawn-tennisa“ grali
Błąd niemal każdy został dziś wyśmiany,
Inni monety stare oglądali,
Których pan domu zbieracz zawołany:
W nich przesunęli się wszyscy królowie
Szereg rozpoczął sławny Zygmunt Stary,
Rzadkie okazy! Któż wyrazi w słowie
Te liczne grosze, dukaty, talary:
Przeszłości naszej wymowne pomniki
Jakże wam rada polska dusza wszędzie!
Nic nie poradzi ucisk polityki

Skoro się każdy z dziejów uczyć będzie
Co zagubiło ten kraj nasz kochany
Co nas zepchnęło w niewolników rzędy:
Bieda, niezgoda, możn~~e~~ wszelkie pany
Liberum veto, sprzedajne urzędy;
A jeśli dzisiaj Polską żyć pragniemy,
Myśl ta nadzieją duszę nam napawa,
Do wyżyn innych podźwignąć musimy
Lud opuszczony, to piekąca sprawa!
A pieniądz polski grosz do grosza znosić,
Czy na nim dzisiaj jest oblicze cara
Albo prusaka — a od Boga prosić
By przeminęła ta dławiąca mara;
Tyle prawiły medale, monety
W swojej prastarej majestatu szacie,
W takich pamiątkach szukajmyż podniety
By zbudzić Polskę w każdej biednej chacie!

III.

Wśród zabaw takich płynęły godziny,
Przeminął obiad suty, doskonały,
Po nim w sąsiedztwo, w miłe odwiedziny
Łodzie po Gople gości przewieść miały;
Na tę wycieczkę wszystko się cieszyło
Lecz zanim łodzią wyruszyć zdołano,
Słońce już znacznie do snu się chyliło
Na „Anioł Pański“ dzwony kołysano!
I szły po wodzie te wieczorne tony,
Cała przyroda w takt im wtórowała,
Na nocne leże powracały wrony,
Złota ruń nieba w wodzie się kapała;
A po tej toni złocistej, goplaniej,
Sunęły, różnem poruszane wiosłem
Łodzie te nasze ku bliskiej, wybranej
Za cel Mietlicy z swoim szanćem wzniosłym.

Różne uczucia sercami władały
Przez modrą falę tak lekko niesionych,
Młodziży oczka do życia się śmiały,
Ów piosnkę śpiewał o latach minionych.
Wreszcie Mietlica! Stary okop, szaniec
Wioskę zakrywa od jeziora strony
Dzisiaj on tworzy Wielkopolski kraniec,
Niewiedzieć kiedy przez kogo wzniesiony:
Hej! na tę górę towarzystwo całe
Wspina się, biegnie wśród śmiechu i gwaru
Z niej po Kruszwicę Gopło hen wspaniałe
U nóg się ściele, widok pełen czaru!
Za szańcem dworek młodego dziedzica,
Dąży tam grono przez cienie ogrodu,
Tak niespodzianie nigdy cna Mietlica
Gości nie miała! toż z tego powodu
Coraz to gwarniej i coraz weselej!
Dziedzic już z pola wraca szybkim krokiem,
Służba w kłopotcie szepce coś nieśmielej
Zbyt licznych gości strwożona widokiem.
Wreszcie niejedni zbyt niedoczekani
Radzą protokół spisać z tego zjazdu.
I wracać nazad do łodzi przystani
Słońce zachodzi, już czas do odjazdu.
Lecz ot' i dziedzic, wchodzi dość zdumiony
Znajomych wita, innym się przedstawia,
Przeprasza mocno, że nie urządzony
Dom jego jeszcze, co mu kłopot sprawia,
Gdyż tylu miłych aż za jednym razem
Po krótkim ledwo władaniu w Mietlicy
Się nie spodziewał, lecz z szczerym wyrazem
Wita radośnie gości z zagranicy.
Wyszedł i wraca — niesie dwie butelki
Leje, częstuje, lecz że się już mroczy
I w domu dotąd brak krzesetek wielki,

Na szaniec prosi, na widok uroczy!
Ej na tym szańcu, jakież rozhowory!
„Niech żyją młodzi!“ „Pereat granica!“
Zdrowia się sypią sławne dziś humory
„Niech żyje dziedzic i jego Mietlica!“
Lecz miłe chwile prędko ulatują,
Dalej na łodzie! powracać już trzeba
Toć się już gwiazdki znowu ukazują
Gaśnie powoli złoty zachód nieba.
Przemknęły łodzie lekko kołysane
Cisza zapadła głucha, tajemnicza,
Zasnęły wkoło wybrzeża goplane
I fala cicha jak... dusza dziewicza...



Skarga.

Jak długo jeszcze każesz nam, o Panie!
W wyrokach Swoich, nigdy nie zbadanych,
Życ w tej ciemnicy? Kiedyż Twe karanie
Odwrócisz od dzieci łzami zalanych?
Że się nam Ojcze, ta skarga wrywa
Z serc tak zbolałych, z piersi rozżalonej,
Racz dziś wybaczyć! niechaj nie pozywa
Przed tron Świątości Twojej urażonej
Nas za to głos Twój, wszechpotężny Boże!
Toć co dopiero świtać zaczynało —
Już w uniesieniu witaliśmy zorze —
Aliści znowu wszystko pociemniało!
I nic nie widzimy, prócz tej czarnej doli,
Polskiego ludu, co go potwarzają,
Aby mu wydrzeć ostatnią piędź roli

I matki język „prawa“ uchwalają...
Tobie się skarżym, wszechpotężny Boże!
Toć co dopiero świtać poczynąło —
I w uniesieniu witaliśmy zorze —
Aliści znowu wszystko pociemniało!
I nic nie widzimy prócz tej ciemnej smugi
Polskiego życia wśród tylu smug lśniących
Innych narodów, a jak kraj nasz długi,
Słyszymy zgrzyt wrogów nam urągających!
Tobie się skarżym wszechpotężny Boże!
Daj nam otuchę, wspomóż i cierpliwość,
Roznieć na nowo te przygasłe zorze
Wierzącym w twoją świętą sprawiedliwość!



Kiedy me szczątki grób ciemny skryje.

Kiedy me szczątki grób ciemny skryje,
Na grobie już bluszcze porosną —
Kiedy wiatr smutnie, głucho zawyje
Przeciągną swą nutą żalowaną,
Sam jeden może hymn żalu długi
Tak świszcząc nad moją mogiłą,
A od zachodu słoneczne smugi
Gasnącą już padną nań siłą —
Czyż dusza moja wtedy z za świata
Do tej rodzinnej wioski jedynej
Nie zejrzy na dół, nie zakołata:
Żali tam cierpią polskie dziecińcy,
Żali tam jeszcze ojców zagony,
Obcym przybyszom wydają plony,
Żali tam czasem w świętą niedzielę

Już obca mowa nie brzmi w kościele!...
Chyba czyśćcową taką dasz mękę
Mej biednej duszy, aby cierpiała
Jeśliby, Panie, srogą Twą rękę
Wtedy nad krajem jeszcze widziała!
Czyliż podobna, byś w niebios progi
Na wieczną radość przyjął mą duszę
Z tem przekonaniem, że lud mój drogi
Na ziemi cierpi dawne katusze!?
Kiedy więc dla mnie niebios podwoje
Łaska Twa, Panie, otworzyć raczy,
Daj mi wiadomość, nią się ukoję,
Że się zakończył żywot tułaczy
Polskiego ludu i z tej krainy
Już pocieszone ojce i syny!
Nad grobem wtedy niech huczą burze,
Niech wichry szumią i leją deszcze,
Niech słońko wschodzi czerwone duże —
Już mnie nie dojdą głosy złowieszcze!...



B. 6457

Księgarnia katolicka
D^{ra} Władysława Miłkowskiego
w Krakowie

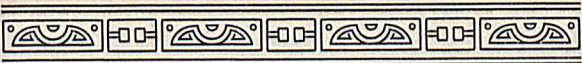
===== wydała i poleca fotografię: =====

Królowa Korony Polskiej.

Kopia z obrazu chlubnie znanego artysty *Jana Styki*. Najświętsza Panna siedzi na tronie Anny Jagiellonki, w kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu i błogosławi przedstawicieli różnych stanów, składających Jej hołd swój, więc: Arcybiskup, magnat, chłopiec krakowski, wieśniaczka z dzieckiem na ręku (a to podaje Najśw. Pannie wianuszek z niezapominajek), mieszczanin i majster cechowy grupują się malowniczo u stóp tronu „Królowej Korony Polskiej“. Poza głową Najśw. Panny błyszczy orzeł biały. W górze aniołowie unoszą koronę ponad Nią. Myśl religijno-narodowa widnieje w tym obrazie utalentowanego artysty.

===== C e n y : =====

- | | | |
|--|---|------|
| W formie gabinetowej (wielkość kartonu 20/18½ cm. | K | 1·20 |
| W formie wielkiej (royal), wielkość kartonu 36/26 cm. | K | 4— |
| W największym (imperial), wielkość kartonu 52/36 cm. | K | 6— |
| Ta sama fotografia, ręcznie kolorowana artystycznie w pięknych ramach za szkłem | K | 35— |
| Kopia olejna tego obrazu, na płótnie, artystycznie i wiernie wedle oryginału wykonana, w ramach bogatych, wielkości 104/72 cm. | K | 150— |



Księgarnia katolicka
D^{ra} Władysława Miłkowskiego
w Krakowie

==== wydała i poleca fotografię ====

Jeszcze Polska nie zginęła!

Wielkość 31/38 cm. w passepartout.


Fotografia z obrazu znanego artysty paryskiego p. Jana Mioduszewskiego, emigranta z 1863 r. Raniony ułan polski w r. 1631 pisze własną krwią na murach Warszawy: „Jeszcze Polska nie zginęła!“. Artysta oparł się na autentycznym fakcie, opowiedzianym mu przez towarzysza onego ułana, wracającego z niewoli siberijskiej. Artysta wykonał dwa obrazy, dwa oryginały, tylko w drobnych szczegółach się różniące. Jeden się znajduje w Muzeum polskiem w Rapperswylu, z podpisem pseudonimu francuskiego Ch. Guibert'a; drugi w posiadaniu obywatela p. Niemojowskiego w Sliwnikach, w Wielkopolsce.

Cena egzemplarza 5 kor.

Polska u stóp Chrystusa.

Wedle obrazu F. Butkiewicza. Treść religijno-patriotyczna, wykonanie artystyczne w kolorach.

Cena sztuki 10 hal., tuzina 1 kor.
setki 8 kor.





Księgarnia katolicka
D^{ra} Władysława Miłkowskiego

w Krakowie

== wydała i poleca w obrazach p. t. ==

Litania Loretańska w obrazach.

Pomysł wogóle, o ile trafny i nowy uzmysłowienia tyle upowszechnionej litanii o Najświętszej Pannie, do której odmawiania, jak wiadomo przywiązał Kościół święty wielkie odpusty (Papież Pius VII. nadał 300 dni odpustu), o tyle przyznać trzeba, wykonanie wypadło bardzo szczęśliwie. Symbole cnót Najświętszej Panny, w porządku inwokacji w litanii, u spodu których widnieją podpisy, wedle których można litanie odmawiać, połączone są ornamentyką szlachetną i stylową. W środku, w otoczeniu tych obrazków, w formie medalionowej, widnieje większy obrazek Najśw. Panny Częstochowskiej w najwierniejszej kopii, z podpisem: „Królowo Polski, módl się za nami“ i miniaturowym orzełkiem i pogonią u spodu ramy, okalającej obraz.

Cena egzemplarza 50 hal., tuzina 5 kor.

Tenże obrazek kolorowy kosztuje 70 hal..

tuzin 7 kor.



Księgarnia katolicka Dra Władysł. Miłkowskiego

W KRAKOWIE
PLAC MARYACKI 9

urządziła w swym lokalu osobne oddziały

1) SZTUKI

w którym ma na sprzedaż **obrazy olejne, akwarele, pastele oraz rzeźby, oryginały znakomitych artystów naszych i obcych.**

2) STAROŻYTNOŚCI

obejmujący **autografy, dokumenty rodzinne, meble stylowe, brzoń starożytną, mojoliki, szkło, porcelanę polską (Korzec, Baranówka), a także obcą (Sèvres, saska, starowiedeńską i angielskie Wedgwood'y), kryształy, miniatury, sztychy polskie, angielskie i francuskie, starożytne ornaty, kapy, tkaniny: szale indyjskie i tyftyki francuskie, pasy słuckie, brzozy, zegary i zegarki, emalie, przedmioty z kości słoniowej, ze złota, srebra oraz monety i medale polskie.**

Przyjmuje w komis i kupuje chętnie wszystko, co się odnosi do tych działów.